

W poszukiwaniu
utraconego
czasu

Uwięziona

Już rano, z głową zwróconą ku ścianie, jeszcze zanim nad długimi zasłoma-
nami dostrzegłem, jaki odcień ma smużka dziennego światła, wiedziałem,
jaka jest pogoda. Mówiły o tym pierwsze odgłosy ulicy, które docierały do
mnie przytłumione i wypaczone przez wilgoć albo drgające niczym strzała
w pustej, dźwięcznej przestrzeni długiego, mroźnego, czystego poranka;
już po turkocie pierwszego tramwaju poznawałem, czy ziębnie w deszczu
czy wyrusza ku błękitowi. Odgłosy te poprzedzała może jakaś jeszcze
szybsza, bardziej przenikliwa iskra, która, wślizgując się do mojego snu,
wznicała w nim zwiastując śnieżycę smutek albo sprawiała, że jakiś
przypadkowy człowieczek nucił kolejne pieśni ku czci słońca, a ja, jeszcze
śpiący, z powiekami czekającymi już na rażące światło, zaczynałem się
uśmiechać i budziłem się pośród tej głośnej muzyki. Zresztą to głównie
ze swojej sypialni oglądałem wtedy świat zewnętrzny. Podobno Bloch
opowiadał, że kiedy przychodził do mnie wieczorem, słyszał dźwięki
rozmowy; ponieważ matka była w Combray, a on nigdy u mnie niko-
go nie zastał, uznał, że rozmawiam sam ze sobą. A kiedy dużo później
dowiedział się, że mieszkała wtedy ze mną Albertyna, pojął, że ukry-
wałem ją przed wszystkimi, i oświadczył, że wreszcie zna przyczynę,
dla której w tamtym czasie nie chciałem wychodzić z domu. Mylił się.
Nic w tym jednak dziwnego, gdyż rzeczywistość, choć nieunikniona,
nie jest w pełni przewidywalna, ci zaś, którzy dowiadują się o czyimś
życiu jakiegoś szczegółu, natychmiast wyciągają z niego mylne wnioski,
a w świeżo odkrytym fakcie znajdują wyjaśnienie czegoś, co nie ma z nim
żadnego związku.

Kiedy teraz myślę o tym, że po naszym powrocie z Balbec moja przy-
jaciółka zamieszkała ze mną pod jednym dachem, że porzuciła pomysł
morskiej wycieczki, że miała swój pokój dwadzieścia kroków dalej na
końcu korytarza, w wyłożonym tapiseriami ojcowskim gabinecie, i że
co wieczór późno w noc, zanim odeszła, wsuwała mi w usta swój ję-
zyk jak chleb powszedni, jak pożywny pokarm, święte niemal ciało,

któremu cierpienia, jakich zazналиśmy z jego powodu, przydają jak gdyby duchowej słodyczy, to porównaniem, jakie mi się narzuca, nie jest noc, którą kapitan de Borodino pozwolił mi spędzić w koszarach, uwalniając mnie tym dobrodziejstwem od przelotnej jedynie troski, lecz ta, kiedy ojciec przysłał mamę, by spała na niewielkim łóżku ustawionym obok mojego. Tak oto kiedy życie po raz kolejny ma nas wyzwolić od nieuchronnego, zdawało się, cierpienia, czyni to w innych okolicznościach, niekiedy tak odmiennych, że myśl o tym, iż otrzymana łaska była w obu wypadkach taka sama, ociera się o świętokradztwo!

Kiedy Albertyna usłyszała od Franciszki, że pomimo mroku sypialni i nieodsloniętych okien już nie śpię, nie krępowała się trochę hałasować, biorąc kąpiel w gotowalni. Wtedy często, zamiast czekać na późniejszą godzinę, szedłem do sąsiedniej łazienki, bardzo przytulnej. Niegdyś dyrektor teatru wydawał setki tysięcy franków, żeby prawdziwymi szmaragdami ustroić tron, na którym diwa grała rolę cesarzowej. Balety rosyjskie nauczyły nas, że zwykła gra światła, odpowiednio ustawionych, tworzy równie okazałe, a bardziej różnorodne klejnoty. Ta złudna scenografia nie dorównuje wszakże wdziękiem tej, którą o ósmej rano słońce wstawa w miejsce innej, do której przywykliśmy, codziennie wstając dopiero w południe. Aby zasłonić nas od zewnątrz, okna naszych łazienek nie były gładkie, lecz przymarszczone sztucznym, niemodnym już szronem. Słońce nagle barwiło na żółto ten szklany muślin, złociło go i, odkrywając we mnie jakiegoś dawniejszego młodzieńca, długo przyćmionego nawykiem, odurzało mnie wspomnieniami, zupełnie jakbym znajdował się na łonie przyrody wśród pozłacanych liści, między którymi przemykał nawet jakiś ptaszek. Bez przerwy bowiem słyszałem pogwizdywanie Albertyny: „troski to takie wariatki, a ten, kto ich słucha, to już zupełny bzik”. Zbyttno ją kochałem, by nie zareagować na jej zły gust muzyczny wesołym uśmiechem. Piosenka ta zresztą zachwyliła poprzedniego lata panią Bontemps, która wkrótce potem usłyszała, że to byle co, więc zamiast prosić Albertynę, by ją zaśpiewała gościom, zastąpiła ją inną, rozpoczynając się od słów: „pieśń pożegnalna tryska z mętnych źródeł”, czyli „śpiewanką Masseneta, którą mała męczy nas do znudzenia”.

Przemknął jakiś obłok, zasłaniając słońce, a ja patrzyłem, jak cnotliwa liściasta zasłona ze szkła gaśnie i powraca do szarości.

Przepierzenia dzielące nasze dwie gotowalnie (ta Albertyny, bliźniacza, była łazienką, której mama, korzystająca z innej na drugim końcu mieszkania, nigdy nie używała, żeby mi nie hałasować) były tak cienkie, że mogliśmy rozmawiać, jednocześnie osobno się myjąc, ciągnąc pogawędkę zakłócaną jedynie pluskiem wody, w bliskości, na jaką w hotelu często pozwala ciasnota pomieszczeń i sąsiedztwo pokoi, lecz która w Paryżu jest rzadkością.

Innymi razy zostawałem w łóżku, marząc tak długo, jak tylko chciałem, gdyż zabroniłem wchodzić do swojego pokoju, dopóki nie zadzwonię, co z powodu niewygodnego miejsca, w jakim zamontowano mi nad głową wyłącznik, zabierało tyle czasu, że często, znużony jego szukaniem i zadowolony z własnego towarzystwa, przez kilka chwil trwałem w półśnie. Nie żebym pozostawał całkiem obojętny na obecność Albertyny. Jej rozłąka z przyjaciółkami oszczędziła mojemu sercu nowych cierpień. Pozwalała mi jak gdyby w bezruchu odpoczywać i wracać do zdrowia. Ale spokój, jaki zawdzięczałem Albertynie, był raczej ukojeniem po udręce niż radością. Nie znaczy to, że nie pozwalał mi obficie kosztować szczęścia, na które zamknęło mnie nazbyt żywe cierpienie, tyle że owego szczęścia nie zaznawałem z Albertyną — która zresztą już mi się nie podobała i z którą się nudziłem, czułem wręcz wyraźnie, że jej nie kocham — lecz wyłącznie wtedy, gdy Albertyny przy mnie nie było. Toteż zaczynając dzień, nie od razu po nią posyłałem, zwłaszcza jeśli była ładna pogoda. Przez kilka chwil, wiedząc, że uszczęśliwi mnie bardziej niż ona, zostawałem sam na sam ze wspomnianą już wcześniej żyjącą wewnątrz mnie osobką, która ze śpiewem na ustach witała słońce. Spośród wszystkich postaci, jakie tworzą naszą osobowość, najważniejsze nie są wcale te najlepiej widoczne. We mnie na przykład, kiedy choroba powali je w końcu jedną po drugiej, zostaną jeszcze dwie czy trzy, najbardziej wytrzymałe, w szczególności pewien filozof, szczęśliwy dopiero wtedy, gdy odkryje, że jakieś dwa dzieła bądź dwa wrażenia mają ze sobą coś wspólnego. Zastanawiałem się jednak czasem, czy ostatnią ze wszystkich nie będzie mały człowieczek podobny do tego,

którego optyk w Combray postawił w witrynie, żeby wskazywał pogodę, a który zdejmował kaptur, gdy świeciło słońce, i wkładał go, jeśli miało padać. Dobrze wiem, jaki z niego egoista; choćbym cierpiał najgorsze duszności, od których tylko deszcz mógłby mnie wybawić, on nie dba o to i przy pierwszych, jakże wyczekiwanych kroplach, tracąc wesołość, z ponurą miną nasuwa kaptur. Jestem za to przekonany, że kiedy będę umierał, a wszystkie pozostałe „ja” już umrą, to jeśli tylko pojawi się promyk słońca, choćbym akurat wydawał ostatnie tchnienie, barometryczny ludzik nie będzie się krępował i, zdjawszy kaptur, zaśpiewa: „Ha! Wreszcie pogoda”.

Dzwoniłem na Franciszkę. Otwierałem „Le Figaro”. Szukałem bez powodzenia artykułu, a raczej czegoś na kształt artykułu, który wysłałem do tej gazety, a który był po prostu przeredagowaną, odnalezioną niedawno stroniczką, napisaną kiedyś w powozie doktora Percepieda, gdy patrzyłem na dzwonnice w Martinville. Potem czytałem list od mamy. Uważała to za dziwne, gorszące, że jakaś młoda dziewczyna mieszka ze mną sama. Kiedy opuszczaliśmy Balbec, a matka widziała mnie takim nieszczęśliwym i martwiła się, że zostaję sam, to być może tego dnia cieszyła się na wieść, iż Albertyna jedzie z nami, i widząc, jak obok naszych rzeczy (przy których, szlochając, spędziłem noc w hotelu w Balbec) załadowano do pociągu walizki Albertyny, wąskie i czarne, w moich oczach podobne do trumien, choć wtedy nie wiedziałem jeszcze, czy sprowadzą one do domu życie czy śmierć. Tamtego promiennego poranka, przerażony wizją pozostania w Balbec, nie zastanawiałem się jednak nad tym, przepojony radością, że zabieram Albertynę. Matka nie była z początku wroga tym planom (miło z moją przyjaciółką rozmawiając, niczym mama, której syn jest ciężko ranny, wdzięczna młodej kochance, że ta z takim oddaniem go pielęgnuje), lecz jej stosunek uległ zmianie, gdy plany zostały co do joty zrealizowane, a pobyt Albertyny się przedłużał, i to pod nieobecność rodziców. Nie mogę jednak powiedzieć, by matka kiedykolwiek dała wyraz tej wrogości. Tak jak kiedyś, gdy nie śmiała mi już wypominać nerwowości i lenistwa, teraz miała skrupuły — czego może nie domyśliłem się od razu albo też nie chciałem się domyślić — by uwagami względem dziewczyny, z którą

miałem przecież zamiar się zaręczyć, nie zachmurzyć mi życia, nie uczynić mnie w przyszłości mniej oddanym żonie, nie zasiać we mnie, kiedy jej samej już nie będzie, wyrzutów sumienia, że zmartwiłem ją, biorąc ślub z Albertyną. Mama wołała, by wyglądało na to, że godzi się z wyborem, co do którego miała poczucie, iż nie ma jak sprawić, bym się z niego wycofał. Jednak wszyscy, którzy ją wtedy widywali, powiedzieli mi, że na jej ból po utracie matki nałożył się wyraz nieustannej troski. To natężenie umysłu, ten wewnętrzny spór przyprawiły mamę o uderzenia gorąca w skroniach, toteż ciągle otwierała okna, chcąc się schłodzić. Nie potrafiła jednak podjąć decyzji ze strachu, że na mnie „wplynie”, w złym znaczeniu tego słowa, a tym samym zepsuje to, co uważała za moje szczęście. Nie stać jej było nawet na to, by zabronić mi gościć Albertynę. Nie chciała się okazać surowsza od pani Bontemps, której w pierwszym rządzie to dotyczyło, a która, ku wielkiemu zdziwieniu matki, nie uważała tego za niestosowne. W każdym razie żałowała, że musi nas zostawić samych, akurat wtedy jadąc do Combray, gdzie mogła spędzić (i w istocie spędziła) długie miesiące, podczas których ciotka potrzebowała jej dniem i nocą. Na miejscu było jej o wiele lżej dzięki dobroci i oddaniu Legrandina, który, nie zważając na trudności, z tygodnia na tydzień odkładał powrót do Paryża, choć ciotkę znał przecież słabo, ale widział w niej przede wszystkim przyjaciółkę własnej matki, a poza tym czuł, że obłożnie chora lubi jego opiekę i nie może się bez niej obejść. Snobizm to poważna choroba duszy, lecz precyzyjnie umiejscowiona i nieniszcząca jej w całości. Ja natomiast, inaczej niż mama, cieszyłem się z jej wyjazdu do Combray, gdyż w przeciwnym razie bałbym się, że dowie się o przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil (a nie mogłem prosić przyjaciółki, by ją ukrywała). Byłoby to dla matki ostateczną przeszkodą nie tylko dla małżeństwa, o którym, jak mnie prosiła, miałem jeszcze Albertynie nie mówić i o którym myśl była mi coraz wstrętniejsza, lecz nawet dla pobytu dziewczyny w naszym domu. Jeśli nie było podobnych znanych mamie powodów, to naśladując moralną, wolnościową postawę babki, miłośniczki George Sand, utożsamiającej cnotę ze szlachetnym sercem, a zarazem pozostając pod moim zgubnym wpływem, była ona teraz wyrozumiała dla kobiet, których

prowadzenie się oceniłaby dawniej surowo, a nawet wciąż tak czyniła, jeśli były zaprzyjaźnionymi mieszkankami Paryża czy Combray, lecz których wielkoduszność jej zachwalałem i którym wiele wybaczała, ponieważ darzyły mnie sympatią. Mimo wszystko uważam, że nawet niezależnie od konwenansów mama nie ścierpiałaby towarzystwa Albertyny, gdyż po Combray, po ciotce Leonii i wszystkich krewnych odziedziczyła zwyczaję, o których moja przyjaciółka nie miała choćby elementarnego pojęcia. Nie zamykała drzwi, za to nie krępowała się wejść, kiedy były otwarte, jak jakiś pies czy kot. Jej odrobinę nieznośny urok polegał na tym, że nie poruszała się po domu jak człowiek, lecz jak zwierzę domowe, które wchodzi do pokoju, wychodzi, jest wszędzie tam, gdzie się go nie spodziewasz, i — kiedy twardo śpisz — rzuca się obok ciebie na łóżko i mości się w nim na długie godziny, zupełnie nie przeszkadzając, inaczej niż ludzka osoba. W końcu jednak dostosowała się do moich godzin snu, nie tylko nie próbowała już wchodzić do sypialni, ale nawet powstrzymywała się od hałasu, zanim nie zadzwoniłem. Reguły te narzuciła Franciszka. Była jedną z owych służących z Combray, które znają wartość swojego pana i starają się przynajmniej o to, by oddawano mu tyle szacunku, ile mu się ich zdaniem należy. Kiedy jakiś obcy gość dawał Franciszce napiwek do podziału z kuchenną, jeszcze zanim wyczył monetę, Franciszka tyleż dyskretnie, co prędko i z werwą pouczała dziewczynę, a ta dziękowała nie półgębkiem, lecz głośno i wyraźnie, jak jej Franciszka kazała. Proboszcz z Combray nie był geniuszem, lecz i on wiedział, co się komu należy. Pod jego opieką córka protestanckiego kuzynostwa pani Sazerat przeszła na katolicyzm i rodzina była mu za to wdzięczna. Pojawiły się widoki na małżeństwo z pewnym szlachcicem z Méséglise. Rodzice młodzieńca, chcąc zasięgnąć języka, napisali do księdza dość lekceważący list, w którym pogardliwie wyrazili się o protestanckich korzeniach dziewczyny. Proboszcz z Combray odpowiedział takim tonem, że szlachcic z Méséglise, korząc się i kajając, wysłał zupełnie inny list, w którym związek z młodą damą uznał za największą łaskę.

To, że Albertyna szanowała mój sen, nie było zasługą Franciszki. W naszą służącą wcieliła się cała tradycja. Spotkawszy się z milczeniem bądź zdecydowaną odpowiedzią Franciszki, choć przecież chciała tylko

do mnie zajrzeć albo o coś zapytać, moja przyjaciółka ze zdumieniem pojęła, że znajduje się w jakimś dziwnym świecie o nieznanym jej obyczajach, podlegającym życiowym prawom, których nie sposób złamać. Przedsmak tego miała już w Balbec, lecz w Paryżu nie próbowała nawet się opierać i każdego ranka, zanim zaczęła się krzątać, cierpliwie czekała na dźwięk dzwonka.

Nauka, jaką dała jej Franciszka, była skądinąd zbawienna również dla naszej wiekowej służącej, gdyż stonowała nieco jej pojękiwania, słyszalne od powrotu z Balbec. W chwili bowiem, gdy wsiadła do kolejki, spostrzegła się, że zapomniała pożegnać się z hotelową „kierowniczką”, wąsatą kobietą, która dozorowała korytarzy, ledwie знаła Franciszkę, lecz była dla niej dość miła. Franciszka chciała absolutnie zawrócić, wysiąść z kolejki, pożegnać się z kierowniczką i wyjechać dopiero nazajutrz. Rozsądek, a przede wszystkim nagła odraza do Balbec powstrzymały mnie przed udzieleniem Franciszce tej łaski, lecz wpadła po tym w chorobliwe rozgorączkowanie, którego nie zażegnała zmiana klimatu i które w Paryżu wciąż trwało. Wedle bowiem zasad Franciszki, wyrażonych na płaskorzeźbach w Saint-André-les-Champs, życzyć wrogowi śmierci, a nawet wcielić to w życie, to nic zdrożnego, za to czymś okropnym jest uchybić powinnościom, nie oddać grzeczności, nie pożegnać się przed wyjazdem, niczym jakaś chamka, z hotelową kierowniczką. Powracająca przez całą podróż myśl, że nie pożegnała się z tą kobietą, sprawiała, że na twarzy Franciszki pojawił się niepokojący rumieniec. I jeśli do samego Paryża odmawiała picia i jedzenia, to nie po to, by nas ukarać, lecz dlatego, że owa myśl rzeczywiście „ciążyła” jej „na żołądku” (każda klasa społeczna ma swoją patologię).

Wśród przyczyn, dla których mama codziennie wysyłała do mnie list z obowiązkowym cytatem z pani de Sévigné, było wspomnienie babki. Mama pisała: „Pani Sazerat zaprosiła nas na jedno z tych jej śniadań, które, jak powiedziałyby twoja biedna babka, cytując panią de Sévigné, wrywają nas z objęć samotności, nie ofiarując wszakże towarzystwa”. W jednej z pierwszych odpowiedzi napisałem nieroztropnie: „twoja matka od razu rozpoznałaby cię po tych cytatach”. Trzy dni później zasłużyłem sobie na takie słowa: „Mój biedny synu, jeśli chciałeś mówić

o mojej matce, to pani de Sévigné była tu od rzeczy. Ona odpowiedziałaby ci jak w liście do pani de Grignan: »Dla ciebie była więc nikim? Myślałam, że byłycie spokrewnione«”.

Tymczasem usłyszałem kroki mojej przyjaciółki, która wychodziła z pokoju bądź do niego wracała. Dzwoniłem, gdyż była to pora, o której Andrea miała przyjechać po Albertynę z użyczonym przez Verdurinów szoferem, przyjacielem Morela. Wspomniałem już przyjaciółce, że w odległej przyszłości moglibyśmy się pobrać; nigdy się jednak nie oświadczyłem; ona sama zaś, kiedy powiedziałem: „nie wiem, ale może byłoby to możliwe”, dyskretnie pokręciła głową z melancholijnym uśmiechem, mówiąc: „ależ nie, nie byłoby”, co znaczyło: „jestem za biedna”. Toteż sugerując, że jeśli chodzi o przyszłość, to „nic mniej pewnego”, robiłem obecnie wszystko, żeby ją rozerwać, umilić jej życie, nieświadomie może starając się też sprawić, by pragnęła za mnie wyjść. Sama śmiała się z tych luksusów. „Ależ matka Andrei zrobiłaby minę, widząc, że stałam się damą jak ona, kimś, kogo nazywa panią, co ma »konie, płótna i powozy«. Co? Nigdy ci o tym nie mówiłam? Och, to trzeba usłyszeć! Dziwi mnie tylko, że obrazy stawia w jednym szeregu z końmi i powozami”.

Zobaczymy bowiem później, że chociaż Albertyna nie pozbyła się głupawych językowych nawyków, to jednak zadziwiająco się rozwinęła, co było mi całkiem obojętne, gdyż kobiecy intelekt nigdy mnie nie zajmował, a jeśli tę czy inną kiedyś zań pochwaliłem, to tylko z czystej grzeczności. Podobał mi się jedynie osobliwy geniusz Celesty¹. Wbrew sobie uśmiechałem się na chwilę, kiedy na przykład korzystając z tego, że Albertyny nie było, zwracała się do mnie w takich słowach: „niebiańskie bóstwo przycupnięte na łożu!”. Pytałem ją: „Ależ, Celesto, dlaczego »niebiańskie bóstwo«? — Ach, jeśli sądzi panicz, że coś go łączy z tymi, którzy wędrują po tym padole łez, to grubo się myli! — Ale dlaczego »przycupnięte« na łożu? Widzisz przecież, że spokojnie leżę. — Panicz

1 Celesta Albaret, służąca Prousta, była jednym z pierwowzorów postaci Franciszki, a sama pojawiła się na kartach *Sodomy i Gomory*. Proust chętnie umieszcza ją w powieści w sąsiedztwie Franciszki, co autorzy pierwszego wydania *Uwięzionej* uznali za błąd i zamienili jej imię właśnie na Franciszkę. (Wszystkie przypisy, jeśli nie podano inaczej, pochodzą od tłumacza).

nigdy nie leży. Widział kto, żeby tak leżeć? Panicz przycupnął. Poruszając szyją w tej bielutkiej piżamie, wygląda jak gołębicą”.

Nawet mówiąc o błahostkach, Albertyna wyrażała się zupełnie inaczej niż dziewczyna, jaką była ledwie kilka lat wcześniej w Balbec. Posuwała się nawet do tego, by na niedobrą polityczną wieść reagować słowami: „to doprawdy paradne”, i nie wiem, czy to nie wtedy nauczyła się kwitować źle napisaną książkę zdaniem: „pomysł nawet ciekawy, ale chyba pisał to jakiś partacz”.

Zakaz wchodzenia do mnie, zanim zadzwonię, bardzo ją bawił. Ponieważ przejęła nasz rodzinny zwyczaj cytowania i sięgała do sztuk, w których grywała w klasztorze i które lubiłem, zawsze porównywała mnie do Aswerusa:

Śmierć jest godnym prezentem, którym tego darzy,
Kto bez wezwania jego oczom się ukaże.
Od strasznego rozkazu nie znajdziesz wyjątku;
I wódz, i kobieta znają moc porządku.
Ja sama...
Jak każda inna temu prawu też podlegam,
Więc jeśli ma się zdarzyć, bym wieść mu przyniosła,
Sam musi mnie odwiedzić albo po mnie posłać².

Zmieniła się też fizycznie. Jej coraz bardziej podłużne oczy zmieniły kształt; miały wciąż ten sam kolor, lecz przeszły jak gdyby w stan płynny. Dlatego, gdy je zamykała, było to jak zaciągnięcie zasłon przesłaniających morze. To właśnie ten drobiazg miałem w pamięci, kiedy żegnałem się z nią każdego wieczora. Rano bowiem kędzierzawość jej włosów długo budziła moje zdziwienie jak coś całkiem nowego, czego nigdy wcześniej nie widziałem. A przecież cóż jest piękniejszego niż kręcony wieniec czarnych fiołków wiszący nad radosnym spojrzeniem młodej dziewczyny? Uśmiech jest bardziej przyjacielski; ale pożądanie

2 Jean Racine, *Esther*, akt I, sc. 3, wersy 195-196, 199-200 i 201-204 (przeł. T.S.).